



▲ Legioniści na San Domingo. Mal. January Suchodolski (ze zb. MWP)

Andrzej Ziólkowski

# Sztandary Legionistów z San Domingo

*Przrzekam być wiernym rządowi francuskiemu i wypełniać moje obowiązki dokładnie i uczciwie – przysięgali żołnierze korpusu ekspedycyjnego wysłanego w latach 1801–1803 na wyspę San Domingo, w tym Polacy z Legii Włoskiej i Naddunajskiej.*

**N**ie miejsce tu na analizę przyczyn ich udziału w wyprawie – dość powiedzieć, że rozkaz wyjazdu za ocean otrzymało co najmniej 5280 naszych żołnierzy zgrupowanych w półbrygadach piechoty o nadanych numerach 113 i 114. Popłynęli na pokładach francuskich statków i okrętów wojennych w dwóch głównych rzutach, z polską fantazją i determinacją – z narodowymi granatowo-karmazynowo-białymi kokardami przy czapkach i sześcioma sztandarami batalionów.

Jeden z tych sztandarów ocalał i jest prezentowany w ekspozycji stałej Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Pierwotnie

był chorągwią 5 batalionu Legii Włoskiej, natomiast po przymusowej reorganizacji sił polskich w 1802 r. pełnił rolę sztandaru 2 batalionu 114 półbrygady piechoty. Rzadko kto zdaje sobie sprawę z faktu, że przebył drogę bojową Legionów nie tylko w Italii, ale również tragiczną zamorską wyprawę.

A piekło tropikalnych walk o San Domingo legioniści przeszli, ponosząc dramatycznie wysokie straty. Podobnie jak żołnierze innych narodowych kontyngentów korpusu, nie wiedzieli, że tuż przed lądowaniem na wyspie wybuchła epidemia żółtej febry. Zupełnie w tej sytuacji nie zdawali sobie sprawy ze skutków ukąszeń owadów,

picia zimnej nie przegotowanej wody, spożywania niedojrzałych owoców i kąpieli w strumieniach. Nie zachowywali podstawowych zasad higieny, zresztą jak mogli je zachować podczas akcji bojowych? Nieświadomi zagrożenia, spali na gołej ziemi i zgniłych liściach pełnych bakterii i robactwa. Nie umieli się bronić przed gadami, pławami i dziką zwierzyną. Nie przyzwyczajeni do wysokich temperatur, bardzo dotkliwie odczuwali upał, duchotę i wilgoć; nie przypuszczali, czym grozi szok termiczny i porażenie słoneczne. Ponadto nie znali terenu, taktyki walki tubylców, miejscowych zwyczajów i języka. W gęstwinie ro-



ślinności czuli się zagubieni, stosowali europejskie szyki zwarte, nie znajdujące żadnego zastosowania w dżungli. Nie od razu zrozumieli, że kluczem do sukcesów był cichy zwiad, dobre rozpoznanie, pełne ubezpieczenie i skryte podejście małych grup; po uderzeniu zaś – szybki odwrót do bazy. Zaskakiwały ich podstępne metody walki i dzika bezwzględność powstańców, co więcej, początkowo nie orientowali się, kto z kim walczy, o co i kto jest ich wrogiem – widzieli bowiem czarnoskórych po jednej i po drugiej stronie barykady. Zanim zgłębili podstawowe zasady jakichkolwiek działań, dla wielu żołnierzy na naukę było już za późno. Niestety, brak miejsca uniemożliwia omówienie szlaku bojowego jednostek.

Ponieśli wysokie straty zarówno w walkach, jak i złożeni chorobami. Szacunkowo: ponad 3500 z nich poległo, zmarło w dżunglach, w górach i obozach jenieckich, rozproszyło się po kłęsce korpusu albo zaginęło bez wieści. Co najmniej 1100 dostało się do niewoli – 500 bezwzględnie wcielili do swej armii Anglicy; 150 uciekło z jej szeregów w późniejszych latach (1809–1812) do Legii Nadwiślańskiej w Hiszpanii; 600 innych, osadzanych najczęściej na plantacjach trzciny cukrowej, z chwilą wygaśnięcia walk, zwalniano etapami „na słowo”, pozwalając pracować i funkcjonować w lokalnej społeczności. 16 czerwca 1805 r., na mocy konstytucji nowego państwa Haiti, uzyskali prawo stałego pobytu i obywatelstwo; ok. 400 w przymusowej sytuacji zdecydowało się założyć rodziny i własne gospodarstwa, ich potomkowie żyją na wyspie do dziś, nosząc charakterystyczne nazwiska (np. Kosa, Słoma, Vitek itp. – mieszkają m.in. w „polskiej” wiosce o nazwie Cazał); 200 pozostałych przeniosło się i osiedliło na hiszpańskiej Kubie i w Ameryce.

W nielicznych krajowych publikacjach, które próbują przedstawić dzieje Polaków na San Domingo, najczęściej znajdujemy ogólne informacje, podobne do zaprezentowanych wyżej. Z reguły brakuje w nich omówienia losów tych żołnierzy, którym szczęśliwie udało się przeżyć i nie dostać do niewoli, a nawet powrócić do macierzystych szeregów; ich losy są na ogół mało znane, a przy tym niesłychanie ciekawe, szczególnie gdy wiążą się z zachowanymi zabytkami.

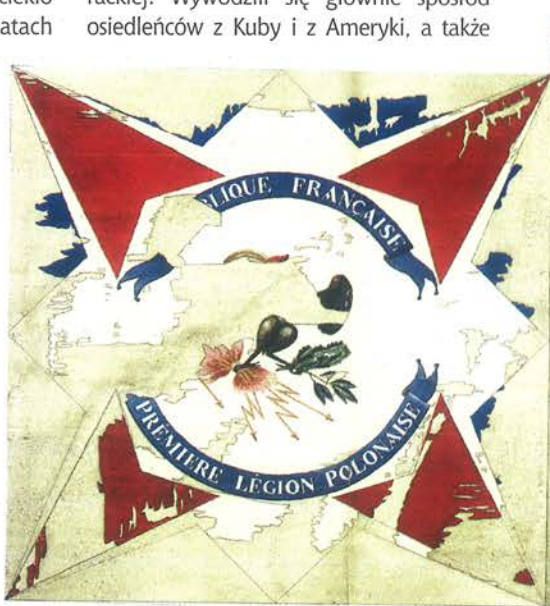
Powiedzmy więc, że w wyniku całkowitej porażki korpusu<sup>1</sup>, w wyniku bezpośredniej ewakuacji jego szczątków w grudniu 1803 r., do Francji powróciło zaledwie 200 Legionistów, w tym 65 oficerów. Kadre kierowano do ośrodka przejściowego w Chalons sur Marne, skąd z reguły trafiała do dwóch istniejących jeszcze polskich regimentów, piechoty i jazdy. W ślad za pierwszą grupą dotarło kilka następnych, ale już znacznie mniej licznych. W połowie kwietnia 1804 r. przybył m.in. najstarszy stopniem oficer, p.o. szefa 114 półbrygady, Kazimierz Małachowski, późniejszy dowódca 6 pułku piechoty Księstwa Warszawskiego, który przywiózł ze sobą uratowane sztandary 1 i 3 batalionu własnej jednostki oraz 1 batalionu 113 półbrygady; wszystkie trzy złożył na ręce gen. Jana H. Dąbrowskiego.

Niezależnie od wspomnianych szczęśliwców, za oceanem pozostali jeszcze tacy, którzy albo nie mogli, albo nie chcieli od razu wracać – i to ich losy są najbardziej barwne. Ani przypuszczaliśmy bowiem, że niektórzy stali się częścią groźnej braci pirackiej! Wywodzili się głównie spośród osiedleńców z Kuby i z Ameryki, a także

z grup legionistów rozproszonych albo „zaginionych bez wieści”. Bez skrupułów zmieniali rogatywki na chustki, karabiny na pistolety i mustrowali na ponurej sławy różne okręty. Na przykład kilkudziesięciu legionistów, skupionych wokół ppor. Kazimierza Luxa, stało się trzonem załogi 9-działowego korsarskiego galeonu „Musquito”, Francuza, por. Bruata. Przez co najmniej sześć miesięcy 1805 r. napadali na brytyjskie i amerykańskie statki, porywali je i sprzedawali z dużym zyskiem w Hawanie. Zawijali do wybrzeży prowincji Santo Domingo, do portów Charleston i Vera Cruz, walczyli ze ścigającymi ich brytyjskimi okrętami wojennymi w pobliżu Jamajki, koło Tabasco i Caracas. Kryli się przed marynarką na łądzie Porto Rico, strzelali z dział z wyspy, ponosili straty w bitwach morskich z Anglikami. Ich dzieje mogłyby stanowić doskonały scenariusz niejednego filmu sensacyjno-przygodowego.

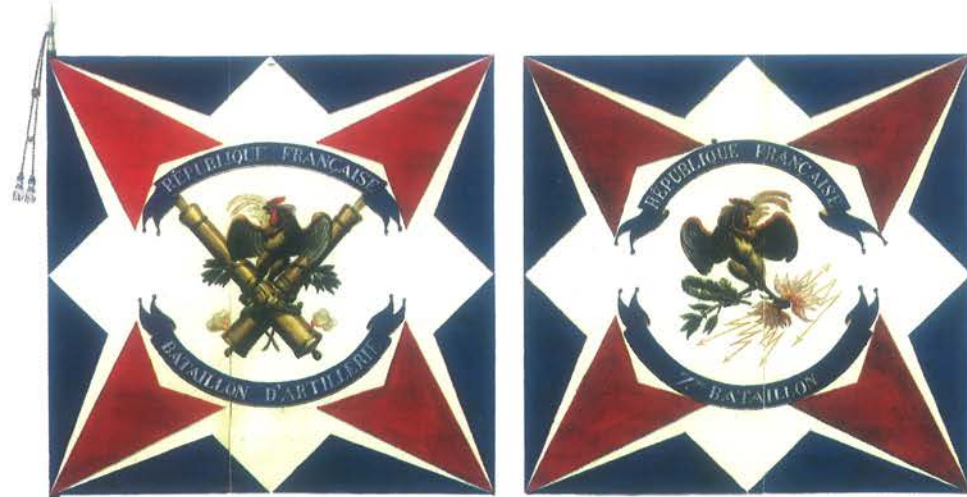
Sławnymi korsarzami zostało również dwóch kolejnych oficerów: kpt. 113 półbrygady Wincenty Kobyłański i kpt. 114 półbrygady Ignacy Blumer, późniejszy oficer sztabowy legendarnego 8 pułku piechoty Księstwa Warszawskiego. Dorobili się własnych okrętów, na których na pewno byli legionieści. Kupowali i zdobywali coraz to nowe statki, wyposażali je w działa, kompletowali załogi i wychodzili w Morze Karaibskie. Topili napadnięte jednostki, łupy przewozili łodziami na swój pokład, marynarzy puszczało wolno w szalupach. Dysponowali tajnymi bazami pirackimi na małych wyspach, w cichych zatokach Kuby i u północno-wschodnich wybrzeży San Domingo. Zbijali w ten sposób majątki; szczególnie zimny i bezwzględny w swych kalkulacjach był Wincenty Kobyłański.

Ale zanim to nastąpiło, przeszli wiele dramatycznych frontowych przygód. Ignacy Blumer wprowadził z okrążeń pod Trou Bonbon ponad stu swoich ludzi i przebił się dżunglą przez trzytysięczne zgrupowanie wroga do odległego o 40 km fortu Jeremie. Był w składzie francusko-polskiej grupy uciekinierów z San Domingo na Kubę, transportował niewielkim stateczkiem wycieńczonych żołnierzy 114 półbryga-



▲ Po zagładzie w 1799 r. Legii Polskiej, odtwarzana formacja pod nazwą Legii Włoskiej w służbie francuskiej otrzymała osiem nowych sztandarów (chorągwi), po jednym dla każdego batalionu. Wykonane w Paryżu, z jedwabiu, o wymiarach 150 x 150 cm, malowane farbą, stanowiły niemal identyczne w rysunku znaki bojowe Legii, które odróżniały się od siebie numerami oddziałów, umieszczonymi po prawej stronie płatu. Naniezione na siateczkę konserwatorską i zabezpieczone wpływale szczątki lewej strony sztandaru (chorągwi), pierwotnie 5 batalionu Legii Włoskiej, później 2 batalionu 2 półbrygady piechoty, przemianowanej następnie na 114 półbrygadę liniową. Szef 2 batalionu, Marceł Ignacy Jasiński, który 30 stycznia 1801 r. odebrał sztandar z rąk gen. Jana H. Dąbrowskiego, zginął na San Domingo pod La Cloche. Sztandar, zrabowany przez Rosjan, powrócił do Polski w 1929 r. w bardzo złym stanie, z dużymi ubytkami tkaniny; dobrze zachowało się tylko drewniane drzewce z mosiężnym grotem i tuleją oraz sznury z chwastami.





▲ Prawa strona sztandaru (chorągwi) 7 batalionu piechoty Legii Włoskiej, który po przeformowaniu jednostek polskich w półbrygady liniowe został w 1802 r. rozwiązany; żołnierzy wcielono do pierwszych sześciu batalionów, z których trzy weszły w skład korpusu ekspedycyjnego. Dobrze widoczne są barwy, napisy i symbole, które znajdowały się na każdym z ośmiu sztandarów Legii, z wyjątkiem numeru oddziału. Sztandar powrócił z Moskwy do kraju w 1921 r., bez drzewca i sznurów. Po prawej: prawa strona sztandaru (chorągwi) batalionu artylerii pieszej Legii Włoskiej, który również został rozwiązany w 1802 r., a jego żołnierze przeniesieni do piechoty. Płat nieco różnił się od pozostałych przez umieszczenie po obu jego stronach emblematu artyleryjskiego. Sztandar powrócił do Polski w 1921 r. w całości, z drzewcem i sznurami.

dy, nie chciał ich bowiem zostawić na pastwę losu. Przeżył z nimi dramatyczną morską podróż z San Fedele do przychylniejszej Hawany, sztorm i katastrofę jednego ze statków na rafach koralowych. Miał za sobą akcję ratunkową rozbitków, śmierć kilkudziesięciu legionistów, m.in. por. Nawrockiego i Jana Białasiewicza, który został rozszarpany przez rekiny na oczach towarzyszy.

Obaj z Wincentym Kobyłańskim słysze-li m.in. o heroicznym wyczynie żołnierzy kpt. Jana Zieleniewskiego i Jana Modzelewskiego, brnących po pas w morzu pod ostrzałem powstańców, bagnietami otwierających sobie drogę odwrotu do berek ewakuacyjnych. Widzieli przybywające na Kubę, przemieszane, ale zdeterminowane i gotowe na wszystko szczątki innych oddziałów, w tym grupę ok. 200 Polaków – i to ze sztandarami 2 i 3 batalionu 113 półbrygady oraz 2 batalionu 114 półbrygady, o którym mówiliśmy na początku. Należy podkreślić, że mimo „piekielnej drogi” legionistów przez wyspę, wysokich strat w ludziach i dramatycznej ewakuacji szczątków półbrygad, żaden z sześciu sztandarów nie został utracony ani w walkach z powstańcami, ani w odwrocie – z San Domingo uratowano wszystkie.

Ileż więc samozaparcia i wewnętrznej dyscypliny wykazywali bezimienni legioniści, by z narażeniem życia bronić znaków nieistniejących już jednostek! Trudno się jednak dziwić, bo część tych samych ludzi, jakby odurzona potrzebą walki, zdecydowała się wziąć udział w odwetowej, szaleńczej akcji morskiej; pod dowództwem ppor. Cypriana Romańskiego, Antoniego Przyłuskiego i Modrzejowskiego, stanowiąc

grupy abordażowej okrętu, która nocą, z szablami w dłoniach i nożami w zębach, zażarcie i zwycięsko zaatakowała na pełnym morzu brytyjską korwetę! Jeszcze inni zgłaszali się do specjalnych francuskich oddziałów desantowych, formowanych do kontruderzenia na angielską Jamajkę i San Domingo w celu odbicia jeńców.

Widać, jak pod wpływem przeżyć nad wyraz silnie rozwinęła się u niektórych legionistów niespotykana wola walki, jak coraz bardziej wciągała ich atmosfera specyficznych działań w dżungli, w górach i na morzu, w niebezpieczeństwach cichych, skrytych akcji. Zahartowani w bojach na wyspie, o żelaznym zdrowiu, ze zwykłych niegdyś piechurów przeistaczali się w doświadczonych żołnierzy-ochotników operacji morsko-ładowych albo w cynicznych rzeźmieszków-korsarzy. A po klęsce mogli przecież odrzucić broń i próbować spokojniejszego życia „cywilnego”...

Ilu jednak takich polskich „marynarzy” i piratów przeżyło bardziej lub mniej zaszczytne awantury i jak kpt. Ignacy Blumer powrócił do kraju, by dalej walczyć na kontynencie – do końca nie wiadomo. Cały czas trwają badania nad ustaleniem losów 160 Polaków z obywatelstwem Haiti, znajdujących się na liście pasażerów specjalnego statku, który przez Nowy Jork i Kopenhagę przybył w grudniu 1805 r. do Gdańska. Wśród nich jakaś część z pewnością miała na sumieniu niejeden wyczyn korsarski.

Przy tym wszystkim najbardziej jednak zastanawiający jest fakt, w jaki sposób i kiedy trafił do kraju ów sztandar 2 batalionu 114 półbrygady widziany na Kubie, a który obecnie znajduje się w Muzeum WP?

Kto sprawił, że dotarł on z wyspy do Europy i – jak trzy pierwsze chorągwie otoczone opieką szefa Kazimierza Małachowskiego – został oddany gen. Janowi H. Dąbrowskiemu? Cztery, jak widać, na pewno wróciły do punktu wyjścia z Italii, po czym razem z chorągwami dwóch innych jednostek – rozwiązanych, nie biorących udziału w wyprawie, tj. 7 batalionu piechoty i batalionu artylerii – powędrowały z gen. Janem H. Dąbrowskim do Polski; zawędrowały ponoć z żołnierzami Legii Nadwiślańskiej na Półwysep Iberyjski, później do Moskwy, a po klęsce Napoleona w 1814 r. powróciły z nimi do kraju.

Dalej, na skutek tragicznych wydarzeń w Królestwie po 1831 r., wszystkie zostały zrabowane przez Rosjan i przewiezione do zbiorów kremłowskich. Dopiero niemal po stu latach, dzięki długotrwałym staraniom strony polskiej, odzyskano zaledwie trzy w ramach tzw. rewindykacji; były to dwa znaki bojowe jednostek wymienionych wyżej oraz szczątki trzeciego – właśnie 2 batalionu 114 półbrygady. Sztandary znalazły poczesne miejsce najpierw w Zamku Królewskim w Warszawie, a potem w Muzeum Wojska; przetrwały zawieruchę wojenną i są jednymi z najcenniejszych pamiątek po polskich legionistach epoki napoleońskiej, jakie posiadamy.

Łącznie pięć wymienionych przez nas znaków zaginęło; w związku z tym ciągle stawiamy pytania o losy dwóch przewiezionych na Kubę, tj. 2 i 3 batalionu 113 półbrygady. Nieliczne archiwalia i szczątkowe relacje żołnierskie sprawiają, że nie mamy pewności, czy również dotarły na kontynent i do Polski, a jeśli tak, to czy po upadku powstania listopadowego nie powędrowały czasem do Moskwy? Co zaś do pozostałych, zagarniętych – 1 i 3 batalionu 114 półbrygady oraz 1 batalionu 113 półbrygady, których nie zdołano odzyskać w ramach rewindykacji – powinniśmy ustalić, gdzie się znajdują, zaś dokładnie, w którym z muzealnych magazynów za wschodnią granicą mogą być złożone? ❖

<sup>1</sup> Na podstawie dokumentów zachowanych w archiwum francuskiej marynarki wojennej, badacz historii Legionów Jan Pachowski wyliczył, że od lutego 1802 r. do listopada 1803 r., czyli zaledwie w ciągu 21 miesięcy walk, wielonarodowy korpus ekspedycyjny stracił na Antylach łącznie ponad 50 tys. ludzi poległych w bojach i zmarłych z powodu chorób, w tym: naczelnego dowódcę, 19 generałów, 1500 oficerów, 35 000 żołnierzy, 8000 marynarzy, 750 oficerów służby zdrowia oraz 5000 urzędników wojskowych i cywilów związanych z armią. Do strat doliczył także ponad 7000 żołnierzy wziętych do niewoli, przede wszystkim przez Anglików; ogromne straty poniosły więc nie tylko jednostki polskie, ale przede wszystkim francuskie, niemieckie i holenderskie.